381

387.

CUPIO DISSOLVI

CUPIO DISSOLVI

NAPISAŁ

EDWARD LESZCZYŃSKI

KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA

1903

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

106107

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Na stole zastał list — jej pismo.

Pociemniało mu w oczach. »Wdzięczną ci jestem, że się przyznałeś...« Niechby okazała gniew, oburzenie — ale ten spokój wykwintny, za którym kryje się pogarda. »Niepotrzebnie uniewinniasz swoją kochankę, ja przecież żalu do niej mieć nie mogę, nie interesuje mnie również, czy ładniej lub gorzej gra na fortepianie...« Kłamiesz, interesuje cię, życie oddałabyś, by tak grać, jak ona. »Namyślę się jeszcze, co uczynić...« więc może go porzuci, choć z tamtą zerwał, właściwie zerwie za... godzinę. — Nie, nie za godzinę, później, teraz musi ochłonąć.

Wyszedł na miasto. W piersiach miał wielką rzewność. — Ty, tylko ty, na życie całe — wzdrygnął się. Kto to powiedział? Dwa lata temu, tak, dwa lata, no, trzeba mieć odwagę, śmiało, otwarcie powiedzieć sobie i jej, że... że nie na życie całe. — Wy artyści kochacie tylko cząstką duszy,

lecz są kobiety za dumne, by się zadowolnić cząstką. — Więc już wtedy przypuszczała... A jednak nie prawda. Kochał całą duszą — co znaczy całą? kochał — na tem się kończy wszelkie określenie. Nie można przecież przykładać miary.

Ha, to zabawne... dwie kobiety... podzielił serce między dwie... Bourget ucieszyłby się, gdyby mu opowiedział swój fakt; ciekawym, jakąby postawił dyagnozę ten znawca, anatom serca ludzkiego; moje serce nie dla ciebie, mądry pedancie, znalazłbyś jeszcze jakie zbyteczne ośrodki nerwowe i twoja metoda na nic... a możeby się twój delikatny nóż przytępił. Patologia... dlaczego zaraz patologia... powiedzieć bez ogródek: rozpusta. Tamta daleko, więc całkiem naturalnie, że... Czy on jeden? wszyscy tacy sami — samce — kobieta dla rozkoszy, kobieta dla rozpłodu. Tak, nazwać brutalnie każdą rzecz, po imieniu, usunąć wreszcie ten fałszywy sentymentalizm. Tak, tak... teraz już dobrze...

Mijał kawiarnie oświetlone rzęsiście, restauracye i znowu kawiarnie, na prawo, na lewo. Alejami, ścieżkami snuł się tłum hałaśliwy, pstry, jak wąż fantastyczny, wijący się w tysiącznych splotach. Zdało się, że jedno potworne cielsko

przewala się na milowej przestrzeni, wciska w każde drzwi otwarte, wypełnia wszystkie ścieżki. A nad tym pełzającym gadem wije się drugie ciało, złożone z śmiechów rubasznych, monotonnych gwarów, katarynkowej muzyki. Burżuazya się bawi, naprawdę się bawi. Na rozpędzonym karuzelu mignęły twarze wesołe, dziewczyna na koniu w galopie odczuwa ważność chwili — patrzajcie, ja jadę, z wysokości siodła spoglądam na was, a nogę mam taką, taką. — —

W strzelnicy tłum. Strzelaj, Franz, w lewą pierś! Ktoś roztrzaskał czaszkę drewnianego żołnierza, odsłonił się drewniany mózg krwią umalowany. Armata Boerów, największa armata... Mirbeau ma słuszność, instynkt krwiożerczy wyładowuje swą energię w niewinnej zabawie, by nie zagrażać potem społeczeństwu. Niech żyje wentyl bezpieczeństwa.

Przez okna widać taniec, taniec tłustych uścisków, zdyszanych oddechów, spoconych, śmiejących się twarzy, taniec ust pochylonych nad ustami, taniec piersi zdławionych gorsetem, taniec pustych, krzykliwych tonów, goniących się po obwodzie koła w stępiałym mózgu waryata. Ktoś drzwi otworzył, hałas bucha, łamie się, gaśnie.

— Tylko dla panów, tylko dla panów! — krzyczał ochrypłym głosem dyrektor budy z kinematografem. — Tajemnice Paryża, paryskie życie we dnie i w nocy, paryskie obyczaje, paryskie rozkosze, paryskie zbrodnie. Tłum ciśnie się do balustrady, nie dowierza, a dyrektor budy z kinematografem zaprasza coraz wymowniej: Czemuż stoicie panowie, czemuż nie wchodzicie do wnętrza tajemnej świątyni — paryskie życie we dnie i w nocy, wszystkie rodzaje użycia i nadużycia. Już zapanował nad tłumem, jak trybun, zniewolił, podbił wszystkich swoją wymową, więc upaja się zwycięstwem, wpada w szał, ekstazę. — Słabi znajdą pokrzepiające wytchnienie, zdrowi potwierdzenie swej siły — tajemnice Paryża. — —

Przemocą wydarł się z ciżby, wchodził w ciemną aleję, gdzie nie było światła i muzyki. Bocznemi ścieżkami snuły się pary kochanków, przytulonych do siebie swobodnie, prawe ramię na szyji dziewczyny, porządnie, jak należy. Był znużony, czuł niesmak. Pod drzewem spostrzegł ławkę, usiadł. Przez gęstwę przedzierały się światła blade, drgające, głosy straciły tu swą krzykliwość, tylko brzęczały razem jednym monotonnym rozgwarem. Zgniły chłód przewiewał między

drzewami. Jesień. — Tam inna jesień być musi. Na pustych polach wielka cisza. Coś odchodzi, coś jasnego, nieuchwytnego odchodzi milowymi krokami; w ślad za tem gna dzika tęsknota, przez szare rżyska gna na oślep, a nie może dogonić, z ponurą zapamiętałością rozpiera widnokręgi jedne po drugich tęsknota, tęsknota — a las szumi żałośnie, sypkie, szeleszczące liście strząsa w wilgotne parowy, kołysze się, lamentuje... Między chmurami ślizga się ciche światło, na dalekie przestrzenie rzuca harmonie wyszukanych kolorów, bawi się dyskretną modulacyą falujących cieni. A wkoło ziemia szarych ugorów, przecięta szmatami zgniłej zieleni, podarta klinami wązkich parowów, polska ziemia, szeroka, wzgórzami nabrzmiała, jak olbrzymie westchnienia zatrzymane w podniesieniu serdecznem.

Coś w nim szeptało: Kocham cię, moja. Ty, twoja ręka, taka mała, lekko opalona, pod obrąbką rękawa biała, coraz bielsza... Ty, twoja ręka, w błękitnych żyłkach krwią tętniąca, nerwami żywa, ciepła. Czemuż musiałem cię poznać? — Przypominał szczegóły poznania. Czysty przypadek — miał odjeżdżać — spóźnił się do pociągu — wieczorem spotkał ją na wybrzeżu z ojcem —

został. — Czysty przypadek — nie, niema przypadku, jest jedna nieubłagana konieczność. Leibnitz sądzi, że idealnie doskonały człowiek wytłómaczyłby wszystko matematycznie, taki człowiek, któryby znał ruchy wszystkich atomów świata. Każdy punkt ruchu określiłby równaniem, z teraźniejszości wysnułby całą przyszłość. Przewidziałby niemylnie, czy za dziesięć lat ziewnę nad pietnastą stronicą jakiej kategorycznie klasyfikującej historyi literatury, czy też dopiero nad szesnastą. Lecz jeśli pobudka wychodzi z duszy, z wewnątrz, cały jego rachunek na nic. Nie, nie taka konieczność. Jest wyższa konieczność, obejmująca wszystkie atomy i wszystkie pobudki wewnętrzne, wszystkie światy, które były i będą, konieczność rzeczywistości, polegająca na tem, że wszystko musi być według natury swojej, bo inaczej byłoby czemś innem, a w takim razie miałoby znowu swoją inną konieczność.

Nie i ta konieczność mi nie wystarcza; jest niezbłaganie logiczną, ale jest czczą analizą nietłumaczącą niczego, zwłaszcza gdy chodzi o wypadek konkretny, osobiście nas obchodzący.

— Czemuż musiałem cię poznać? — Musiał znaleść odpowiedź, musiał. Pytanie to zawisło

nad nim, przybrało ostrość stalowego miecza, czuł jak się wdziera w czaszkę i pali mózg przeraźliwem dotknięciem zimnego żelaza. Czemuż musiałem cię poznać? Umysł jego pracował. — To nie o poznanie chodzi, jak cię znałem oddawna. Tam w głębi mojej jaźni, byłaś odkąd ja jestem. Spotkanie, przypadek — to tylko wypadkowa ukrytych sił, co się w mej duszy skrzyżowały. Kiedy odrzucę od siebie ostre szczegóły rzeczy tak, że się czuję sam, tylko sam, wtedy znajduję cię w sobie w nieskalanej świętości mej duszy.

— Tak, to jest tajemnica, tajemnica... — powtarzał, powracając do domu. Usiadł w fotelu, chciał pracować, byle o tem nie myśleć. Tajemnica. Precz, precz wszystkie tajemnice. Z tą drugą to jeszcze większa tajemnica, ha-ha! Gdyby tak trzy, cztery tajemnice, co? A móżeby to tak wytłómaczyć, określić po literacku? Jedna, żona — najczystsza treść jego duszy, ukojeń zaświatowych widoma rękojmia, harmonia zjednoczenia; druga, kochanka — przyziemna przystań zaświatowych tęsknot, co się upojnym haszyszem krzepią, nim w dalsze nieba popłyną. Świetnie. Zgryźliwe szyderstwo krztusiło się w nim bezlitośnie.

— Właściwie możeby już czas był, powiedzieć

sobie otwarcie, że kochając dwie, nie kocha się żadnej. No, wobec tego można rozważać zimno, po kupiecku, co warta jedna i druga. Więc... Syknął z bólu cicho, przeciągle, jak ranny, któremu przewiązują bandarze. Machinalnie zaczął przestawiać drobiazgi na biórku, czepiał się wzrokiem przedmiotów jak tonący. Obracał się na miejscu, szukał czegoś, czegoś... i nie zdziwił się, gdy w mrocznym kącie pokoju ujrzał je obie, trzymające się za ręce, nie zdziwił się, owszem patrzył jak człowiek, który powoli zaczyna się oryentować w nieznanej mu dotąd dziedzinie pojęć, rozumiał mowę ich oczu, mowę duszy do duszy, przemądrze wyrozumiałą, przebaczającą, zaświatową.

Zapadał się w siebie w głuchej, posępnej zadumie. Ocknął się, gdy mrok wypełnił pokój aż po brzegi. Precz, precz, tyś mię od niej oderwała na wieki, precz, nie patrz na mnie temi czarnemi jak otchłań oczyma. Uspokajał się, zapalił lampę, przed sobą miał fotografię żony, nie mógł sobie przypomnieć chwili, kiedy wyjmował ją z biurka. Twarz kapryśnego dziecka, co się dąsa, aby się dać przepraszać, mieniła się w każdej chwili w twarz bolesnej Madonny. Przypo-

minał jej oczy, oczy wciąż zmienne wyrazem, oczy w których całe akordy tonów płynęły między jasnym błękitem a ciemniejącym fioletem — jej oczy.

— Tam jesteś, a tu cię niema. To niemożliwe — jesteś, jesteś we mnie.

Kiedyś w jedności byliśmy razem,
zanim się życie poczęło,
zanim zawarły się bramy kwietnych ogrojców...

Budziły się w nim jakieś tchnienia, rytmy.

Ku tobie płyną moje smutki,
Co się zbudziły raz, przed wieki. —

— — Literatura, literatura — uśmiechnął się boleśnie. — Więc nic dla siebie, nic wyłącznie dla siebie. Artysta... legendowy król Midas, opływający złotem, ale wiecznie głodny, bo chleb powszedni niesiony do ust zamienia mu się w oczach w złoto, w drogocenny kruszec poezyi. O żyć! żyć! Jakby to było dobrze, prawda? Ciche wieczory letnie na werendzie, przy żonie, która go kocha, którą on kocha... pies przychodzi się łasić... Sielanka — ideał burżuazyjny. — Czy z was który nie marzył o tym ideale, wy wielcy — ha, ha —

tak czasami, gdy was życie silniej przycisnęło? — Nie, nie, to słabość, takie marzenie. Trzeba życie ujarzmić, powalić na kolana, uczynić zeń piękną niewolnicę, podającą puhar z pieniącem się winem; trzeba ujarzmiać, być silnym, łamać przeszkody, a gdy taką przeszkodą jest kobieta, to... Drgnął, usłyszał jęk... przywidzenie... trzeba być silnym — odwrócił się — nic... A jednak coś się stało, coś weszło do pokoju, czego przedtem nie było. Poczuł, że ma ręce zimne — ależ i przed chwilą musiały być zimne. Zaczął gwizdać aryę operetkową. — Kto gwizda? Ja? — Kto, ja? Czy ten, który myśli, czy ten, o którym myśli? Co do dyabła! takie głupie pytania. — Gdzie ja jestem? aha, to mój pokój. Rozglądnął się. Zdało mu się, że pierwszy raz patrzy na swój pokój; wszystko na tem samem miejscu, a wszystko zupełnie inne.— Ja — kto, ja? — wzdrygnął się z głębi. — — —

Teraz już zwlekać niepodobna — powie jej wszystko, wytłómaczy spokojnie, jasno. »Wiesz przecie, że jestem żonaty...« — nie, to byłoby głupie. — »Słuchaj, Zośka, pomówmy rozsądnie...« to będzie dobry początek, tak, między dwoma kłębami dymu papierosa. A potem? Rozejdą się, każde w inną stronę, nic w tem niezwykłego. W iluż to miejscach, o tej samej godzinie, ta sama scena musi się rozgrywać. Tylko że właściwie każda scena jest inna, bo każda dusza jest inna. — — —

W każdym razie zostanie niezwykłe wspomnienie — to ich pierwsze spotkanie, albo te schadzki... jej gra na fortepianie... jej gra... takiej gry w życiu nie słyszał...

— Stefan, Stefi, będę cię odtąd nazywać Stefi, dobrze?

— Dobrze, Zochna.

— Słuchaj, gdy cię pierwszy raz spotkałam,

uczułam coś, jakby rozkaz, aby się zbliżyć do ciebie.

— A ja się ciebie bałem, nieuzasadniony lęk oddalał mię od ciebie. Gdyby mię kto wtedy zapytał, co czuję, odpowiedziałbym, że mię twoja obecność odpycha, że czuję niechęć.

— Wiem, zauważyłam i to jeszcze więcej zwróciło moją uwagę na ciebie. Ktoś mi powiedział, że nie lubisz kobiet, wzięłam to na seryo — »otóż ja go nauczę kochać«.

— I nauczyłaś, Zochna.

— Ale dla czego się kochamy, dla czego? ostatecznie znamy się mało, przekonania nasze są różne.

— To tajemnica, jest w nas coś, co nas zbliża do siebie, a to nie polega na wspólnośći zapatrywań, to coś zupełnie innego.

— — — — — — — — — — — —

A gdy się to już stało... jakże dziwna zaszła w nich zmiana. Zmrok był w pokoju, straszny, złowieszczy zmrok. Stojąc w głębi tulili się do siebie, jak dzieci w obawie kary. Nieznany żywioł oczekiwania wypełniał powietrze, wciskał się w piersi, zapierał oddech. — — Za nimi ktoś niewidzialny śmiał się bezgłośnym chichotem. Żela-

zne ręce spoczęły na ich barkach, gniotły ku ziemi; ręce te należały do kogoś, co był bardzo silny, niezmiernie silny, tak silny, że mógł posuwać ludźmi jak pionkami. — Stefan — co będzie? cyt... cicho... mdleli od pocałunków i cucili się pocałunkami.

Odeszła.

Usiadł w fotelu, zapalił papierosa, patrzył przed siebie. Mrok spowijał go zwolna miękkimi zwojami szarzejących cieni, na dworze deszcz padał drobny, zda się, przesiany przez gęste olbrzymie sito rozpięte nad ziemią w kształt ołowianego nieba. Padały krople jedna przy drugiej, tuż... tuż... takie maleńkie kropelki, a każda miała swoje odrębne życie, odmienny ruch. Oto drży chwilkę, wahając się jaką drogę obrać i po krótkim namyśle rzuca się na dół z wrastającym rozpędem. Spotkawszy inną kropelkę, uderza w nią z impetem i spoiwszy się z nią w większą kulkę wodnistą toczy się majestatycznie, zygzakowatym szlakiem ku dolnej krawędzi okna. Nagle z tej kontemplacyi wyrwał go szmer, którego dotąd nie słyszał. Długi, ścienny zegar wisiał naprzeciw niego, zwyczajny zegar, z czarnego drzewa z rzeźbionymi u góry gzemsami. Ale z tego codziennego

sprzętu szedł czar nieprzezwyciężonej grozy. Za każdym miarowym ruchem wahadła, czuł jakby silne wstrząśnienie elektrycznego prądu, a oczy zaczęły mu latać w orbitach w takt równomiernych wychyleń metalowego krążka. Ten drobny kawał metalu, ciągnął go z siłą magnesu w kraj rozpętanej newrozy. Naraz zegar zaczął bić godzinę. Naprzód zgrzyt tępy, chrapliwe tarcie żelaza, potem trzask metaliczny, jakby zderzenie dwóch płyt metalowych i znowu zgrzyt i trzask. Za każdem uderzeniem zegaru wstrząsał nim dreszcz, lękiem przejmowały go metaliczne razy, a równocześnie czuł o wiele większy przestrach na myśl, że zegar bić przestanie. Zdawało mu się, że z chwilą, gdy przebrzmi ostatnie uderzenie, stanie się coś strasznego; może to będzie kataklizm zewnętrzny, jakieś pogwałcenie odwiecznego porządku rzeczy, może rozprzężenie jego własnej istoty... może śmierć. Wzdrygnął się... Śmierć!... W piersiach mu zawył protest rozpaczny i ścieśnił gardło dzikim, dławiącym przestrachem. Zegar przebrzmiał tymczasem i obojętnem wahaniem odmierzał sekundę za sekundą. I nic... czekał chwilę z sercem jak młot bijącem, ale nic... żadnej zmiany w nim ani za nim. Bo i skądby

się miało coś zmienić? jak można być tak nierozsądnym, śmiesznie, dziecinnie nierozsądnym.

Położył się spać. Myśli, obrazy coraz powolniej przewalały mu się w mózgu, aż zastygły w szarą, nieruchomą masę, którą okrywać zaczęła mgła, coraz grubsza, gęstsza.

Naraz zdało mu się, że zapada się w otchłań bezgraniczną, czarną; cała jego istota rozprzęgała się w nicość, jakby wszystkie atomy organizmu porwane ruchem odśrodkowym chciały wyswobodzić się ze stanu skupienia i rozbiedz na wszystkie strony, jak cząstki gwiazdy rozbitej, lecące w przestrzeń międzyplanetarną. Ocknął się w chwili, kiedy z rozprzężonej świadomości został jeszcze jeden punkt świetlny, niby punkt środkowy, około którego grupowały się wszystkie moce psychiczne. Czuł, że gdy ten punkt rozprószy się w ciemności — przestanie istnieć. Z szalonym wysiłkiem desperacyi rzuciła się dusza na ten punkt centralny, zwinęła naokół niego, jak nagle rozkręcona sprężyna błyskawicznym rozmachem owija się koło osi — i w tym skurczu śmiertelnego przyczajenia trwała bez ruchu, aż pamięć ocknięta z letargu zaczęła przesuwać mu przed oczyma luźne plątaniny obrazów. Był uratowany.

Po chwili ogarnęła go senność, ale dusza nie mogła przekroczyć granicy nieświadomości, między śniciem a jawą trzepotała się w bezsilnej udręce. — To moje łóżko — czuł, a równocześnie majaczył mu się ugór pustynny, na którym sam leżał; a ugór był wszystkiem, co było, co być mogło, a on sam był jedyną istotą, jedyną w czasie i przestrzeni. — To moje łóżko — — ugór bez kresu...

Nagle uczuł na sobie ciężar nie do zniesienia. Nie była to żadna kształtami określona masa, ale ciężar sam w sobie, jakaś niemożliwość ogromu, wobec którego miliony światów są pyłem tylko; ogrom ten rósł, a niemoc wyobrażenia wzrostu czegoś, co już przeszło wszelką miarę, rozsadzała czaszkę waryackim obłędem. Ocknął się, przetarł oczy — — moje łóżko — wczoraj odeszła — już nie wróci — — nigdy — nigdy — tam daleko moja żona. —

Jak się masz? droga! moja! — dobrze, żeś przyszła, tęskniłem za tobą, gdzieżeś była tak długo? — — no siądź, siądź przy mnie, tu, pocałuj — jeszcze, jeszcze. Wiesz, Wandziu, miałem straszny sen — opowiedzieć ci? — ale bądź spokojną, to był sen. Przyszedłem z miasta, uścisnę-

liśmy się jak zwykle; naraz twarz twoja zaczęła się przeobrażać, poczułem kształty obce, nie twoje, nieznaną kobietę trzymałem w ramionach. Piękna była, ale nie tak delikatna, nie miała tego czaru marzycielstwa, który z twych oczu spływa. No, przecież nie będziesz się gniewać, posłuchaj, to sen. Wandziu! cóż to? bledniesz? nie odsuwaj się, to był sen. Pójdź! Nie słyszysz? tak dziwnie patrzysz.

Nie odchodź, nie odchodź!! Porwał się — biedz — zgonić, schwytać. Ty mię opuszczać nie możesz, tobie nie wolno, nie wolno. — Ja zginę — ja. — — Przez bezdroża najdziksze, przez poszarpane wądoły, w których wykroty drzew tamowały przejście, a potworne pętlice korzeni wikłały mu nogi, darł się z uporem wściekłości.

Zgonić — schwytać — podrzucić na piersi — uściskiem ramion, jak żrącymi powrozami opętać jej ciało, oczyma pożądania wypić każdą linię boleśnie drgającej twarzy, zębami wessać się w rzężącą szyję i stoczyć się w przepaść, na ostrzach kamieni drąc krwawiące ciała. — — —

Naraz uwikłał się w jakiejś olbrzymiej sieci lianów, prężył się, szarpał — daremnie. Z oddali, jak gdyby z krańców widnokręgu patrzały nań

oczy jego żony, nieruchome, smutne, zastygłe w strasznym wyrzucie nieodwołalnej krzywdy. Nie mógł znieść tego wzroku, szarpał się, wykręcał w więżących splotach lianów, lecz z każdej strony patrzała nań para oczu zastygłych w niemym wyrzucie. Pot spływał mu po ciele, wściekłością rąk i zębów rwał okropne więzy — jeszcze chwila wysiłku — będzie wolny — byle tylko ten ostatni pierścień poszarpać. W tej chwili usłyszał za sobą śmiech, szatański chichot obłąkanej kobiety — nie liany, ale okrągłe ramiona zaciskały mu się naokoło ciała. — Wykręcił się w tym uścisku i ustami w spienione usta uderzył. — To ja, twoja Zochna — szukałam cię długo, ręce i nogi pokrwawiłam po lasach, ale to nic — hi hi hi — już cię nie puszczę, nie puszczę. — Co? tamta? Tamtej już niema — zabiłam — hi hi hi! — nie wierzysz? — przyniosłam ci jej serce — poznajesz? — jej serce. Pytałam znachorki, pytałam, jak twoją miłość odzyskać. — »O północku ją zabij, paprociami nakryj, zrób jej grób z paproci a serce zanieś lubemu, pod nogi rzuć i tańcz, i tańcz z nim taniec miłości«. — No, pójdź, pójdź w tan, pójdź w tan — gnomiki leśne dzwonią

nam dzwoneczkami — kling klang — kling klang — pójdź w tan, pójdź w tan. — — —

— Muszę mieć gorączkę — już dzień, ale czemu czasami tak ciemno? — to mnie się w oczach mroczy — może umieram — wszystko jedno. —

Zdziwił się. — Więc to tak! Zdało mu się, że patrzy przez żółte szkiełka. Nie, szkiełek nie ma, tej ramy różnokolorowej, przez którą tak często patrzył — musiała zostać w pokoju, tam. Cudny ogród, trawniki, drzewa skąpane w żółtem świetle. Co tu się dziwić — ależ to naturalne, zupełnie naturalne: jakże mogłoby być inaczej — przypomniał sobie światło dzienne — takie wyblakłe — naprawdę jest gdzieś takie światło? Aha! ja żyłem, mózg rozpalałem aż do białości daremnym wysiłkiem wyobrażenia sobie tego... tego ogrodu. A przecież to tak proste. Nazywa się to śmierć — tam, w ich języku. Żółte drzewa, trawniki, staw zawieszony jak srebrno-złoty obrus kołysał się jak na zawiasach nad wejściem ogromnej alei. Fale eteru wnikały mu w ciało, dźwięczały w uszach, czuł ich błyskawiczny przepływ Srebrno-złoty staw podobny był teraz do potwornego liścia zawieszonego u olbrzymiej gałęzi. Za każdem odchyleniem odsłaniały się niewidziane

nigdy krajobrazy, a wszystko było w nich w ruchu, wszystko płynęło, przeistaczało się, znikało. Jakiś kościół zczerniały, oparty na iglastej wieży, jak na nodze, zakręcił się w błyskawicznej piruecie i rozpadł w gruzy. Z gruzów, w mgnieniu oka wyskoczyło stado słoni, a z każdej trąby podniesionej do góry wylatywały chmury ptaszków o barwach czerwono - niebieskich. Naraz w górze rozległ się krzyk jaskrawy, przeciągły i zamiast ptaszków miliony cudnych kamieni zaczęły spadać na słonie jaskrawą mieniącą się ulewą. A gdy opadła ulewa, zakrywszy słonie i gruzy, z ostatnich krańców widnokręgu wyleciało wojsko konnych rycerzy w dyamentowych szyszakach i przez gościniec kamieni, kruszących się w pył tęczowy gnało co tchu ku wejściu alei, a gdy już byli u wejścia, zasłona wiszącego stawu wychyliła się silniej i nagle oderwana od góry zalała całą aleję i całą głąb widnokręgu srebrno-złotym roztopem. Potem łódź z rozpiętemi skrzydłami łabędzia niosła go w dal; omijał wyspy koralowe, prześwietlone, niby bajeczne abażury, złotem łagodnem światłem. Podpłynąwszy bliżej spostrzegał miliony drobniutkich owadów, świecących jak robaczki świętojańskie w niezliczonych otworkach

rozgałęzień koralowych. Na jednej z takich wysp ujrzał okienko jakoby z miki przejrzystej; do szyby przytulona twarz przepięknego chłopczyka patrzyła w dal rozzłoconą szeroko rozwartemi oczami tęsknoty. Pożądanie nieznanych światów hen, za widnokręgiem drzemiących wyczytał w tych oczach błękitnych przykutych do szyby w bezsilnej tęsknocie. Cała dusza chłopczyka wybiegła z głębin, wczarowała się w to spojrzenie. Tak patrzą oczy więźnia w pierwszy dzień wiosny, kiedy od pól rozmokłych zawiewa przez kratę zapach nikły i nieuchwytny, jak pierwsze dreszcze przeczucia. Śladem tego spojrzenia leciała łódź srebrnoskrzydła przez niespodziewane dziwy świateł przez cudne feerye kształtów falujących nad roztoczą; aż na jednej z wysp koralowych ujrzał takiego samego chłopczyka, z tem samem zapatrzeniem nieruchomych oczu. I płynął, płynął bez końca, a z fali wykwitały ciągle te same płonące, gorączkowe oczy — bezsenne wigilie tęsknoty na morzu nieskończoności. I poznał, że niema kresu tej krainie czarów, jak niema kresu tęsknocie. — — — — — — — — — — —

Wyszedł na miasto bez celu. Nurzał się w tłumie przechodniów, machinalnie pozdrawiał znajomych, z miejsc silnie oświetlonych wchodził w ciemne zaułki i znowu płynął z tłumem, bez myśli, bez pamięci i czucia. Oczy jakby tylko z przyzwyczajenia notowały obrazy uliczne, kamienice znikały i powracały w kalejdoskopijnej płynności. Przystanął — rozglądnął się — jej mieszkanie. Szedł mozolnie po schodach, przy każdej kondygnacyi odpoczywał, zdawało mu się, że pnie się w górę już od godziny. Nareszcie. — — Stąpał cicho na palcach, sam nie wiedząc dlaczego, jak nie wiedział wogóle, po co tu przychodzi. Z bijącem sercem stanął pod drzwiami. — Wyjdzie może przypadkiem — no — trzeba zadzwonić — ale cóż jej powie na wstępie? — trzeba przygotować parę słów — po co? wszak nie mają sobie już nic do powiedzenia. Szmer — otwiera fortepian.

— — — — — — — — — — — —

Rozlała się wkoło mgła zwiewna, mgła błękitnych oddali. Przez mgłę przebija się skarga daleka, ledwie słyszalna dla ucha, wznosi się, gaśnie. Powtarza ją głos bliższy, lecz jeszcze drżący, niepewny. To ból, żebrzący o głos, co się wyłonić nie może. Czuć, jakby łkanie piersi, w których się dusi więziony długo płacz. Teraz wybuchnie. Nie, zawahał się sam w sobie, zatargał piersią i rytmem urywanym wraca w głąb, w duszę.

Cisza.

Cisza pasowania się i rozsadzającego napięcia.

Naraz zadudniało. Z jakichś czarnych otchłani falą krwi spiekłej runął krzyk tępy, mocny, złamał się w przeraźliwym zgrzycie, raz jeszcze wzbił się w wysiłku nadludzkim i z wyżyn ostatecznej boleści wracał falami wstecznemi, aż zgasnął. Naraz w ciszy ukojenia słychać szept, jakby ktoś twarz przyłożył do ucha i kładł w nie wyrazy słodkie i namiętne zarazem.

Skarga na początku słyszana wiała teraz tonami drżącymi jak blask konający, miękkimi jak mgły jesienne. Ale zwolna niepewność znikała, tony choć jeszcze ciche dyszały głuchą namiętnością i przez rozsnutą mgłę rozkoszy wybi-

jały się coraz silniejsze, coraz szybsze, palące. Z rozkipiałych odmętów uczucia wybiegła fala rozhukana, wszystkie dźwięki porwała na swój grzbiet spieniony, zbliżała je i oddalała w zdyszanym rytmie namiętności i parła ku górze, jak rzeka, co wszelkie tamy rozsadza. Nastała chwila ostatniego wysiłku. Straszliwa chwila zmagania się niewidzialnych potęg. I oto naraz pękły zapory. Z oślepiającym hukiem wulkanu wyleciał krzyk rozpacznego oswobodzenia, wydłużył się w nieskończoność, stężał niby olbrzymi słup rozżarzonego żelaza i nagle przełamał się w sobie i jak potworna spadająca rakieta stoczył się w otchłań ciemności. Niby drżenie toni zmąconej upadkiem olbrzymiego głazu wznosiły się i opadały echowe dźwięki.

Zdało się, że ból się wyczerpał; lecz oto z gasnącej już skargi wydarł się tensam krzyk rozpaczny, tylko że jeszcze więcej było w nim mocy i tryumfującego buntu.

I opadały i wznosiły się słabnące dźwięki, jak ostatnie falowanie piersi, co się w śmiertelnym krzyku stargały. A gdy już miała być cisza, ostatni jęk wygiął się w nieprzewidzianym zapędzie i trwał zawieszony w przestrzeni.

Wtedy na tę zastygłą podstawę wypadła cała falanga zdyszanych akordów, rwąc się ku górze. Dźwięki zmieniły się w istoty żywe. Akord wspinał się na akordzie, przytłaczał go swym ciężarem i sam padał pod masą nowych piętrzących się akordów.

Był szał rozpaczny i dzika rozkosz zapamiętania w tem szczeblowaniu ku niedosiężnym szczytom. Walka o zdobycie szańców niemożliwości, pijana ostatnim błyskiem nadziei, raz po raz zgnieciona przemocą i znów wzdrygnięta nagłym porywem wściekłości, taka walka na śmierć i życie dyszała w tej muzyce. A kędyś na niedosiężnych szczytach grały, płynęły, nęciły czarodziejstwa tonów, niby raje fatamorgany, drażniące niemoc szaleństwa.

Zrozumiał, zrozumiał.

...Więc szarp się serce, krzycz, szalej — Jeruzalem miłości nie dla ciebie.

...Więc nie przemożesz życia, nie przemożesz, choć na arenie walki krwią spłyniesz i własną niemoc zdławisz i bunt z niej wykrzeszesz nowy, nie przemożesz.

Nagle wszystko znikło, cofnęło się w głąb. Z mgły zwiewnej, mgły błękitnych oddali wes-

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

tchnęła harfa tęsknoty. Była w tem westchnieniu beznadziejność boleści i pożegnanie tych, którzy już nie wrócą i taka bezbrzeżna żałość, co się nad sobą lituje. Chciał odejść, ale czar silniejszy od niego przygwoździł go do miejsca.

Po klawiaturze przelewały się teraz kaskady dźwięków. Utworzył się odurzający chaos z mgieł falujących, migotań świetlnych, dzierżgany haftem pereł, przewity festonami koronek. Z dźwięczno-płynnych oplotów arabesek wychylały się raz po raz mgliste kontury melodyi, zwijały w świecące centra mgławiczne, przyciągały w około siebie grupy rozpierzchłych, błąkających się dźwięków, aż nad blednącym oparem rozbłysła wyzwolona melodya.

Słuchał zapatrzony w przeczyste kryształy, w których odbiło się niebo. Tony owijały mu serce tkanką świetlistą, aż się weń całe wtopiły niewysłowioną pieszczotą. Odtajała w nim dusza, zlepem błotnistym w trzęsawiskach grzęznąca i wionęła ku niebu. Lecz oto lot zniża... opada. Wzbija się znowu, trzepocze. A z dolin idzie skarga, jęk ziemi i wszelkiego stworzenia, człowieka serce łka: weź, unieś, zbaw! Ręce się prężą, wołają: weź, unieś, zbaw! Dusza-melodya pochyla się

raz jeszcze, pęcznieje, wzbiera bólem wszechistnienia, a moc jest w niej, moc lotu. Światem się stała, przeżartym w ogniu w złotą zjawę ducha — w bezmiar szybuje świat-duch. I dudnią, huczą, rosną wyzwolone dźwięki, tryumf tonów, co stały się wszystkiem, upaja się sobą w rosnącem napięciu ekstazy. — —

Jeszcze, jeszcze! Przewalać się, tarzać w przepychu nienazwanych upojeń, w nieruchomość szału boskiego stężeć.

Nie wracaj z nieskończoności, nie wracaj! Już przełamane szranki głupiej nędzy życia, tylko trwać, trwać! Tysiącem ssawek pragnienia przywrzeć do złotej kopuły...

Lękam się... lękam...

Naraz dusza rozpięta w wieczności runęła w pęta cielesne.

— — — — — — — — — — — —

»Potem, co zaszło, nie moglibyśmy żyć ze sobą«. Masz racyę, nie moglibyśmy. Ale czy sądzisz, że bez siebie potrafimy?... No, no, któż mówi o szczęściu? będziemy żyć, to nam musi wystarczyć. — Otóż właśnie, że nie, nie będziemy, nie możemy — ja nie chcę, abyś żyła, nie pozwolę... Będziemy umierać, rozkładać się za życia; bo człowiek — to nietylko ciało... nie tylko... a to inne, to główne, to jedyne, to będzie kawałkami rwać się, w tłumionem ogniu tleć, popieleć. Bo to nie moje, ani twoje, to do naszej miłości należy. Rozerwaliśmy naszą miłość na dwoje, żywcem rozerwaliśmy, jak dziecko piszczała. A krew ściekała nam w serca głucho, bezdźwięcznie. Zachłyśnięci tą krwią serdeczną, chodzić będziemy między ludźmi jak upiory, zostaniemy sami daleko od siebie, dusząc w sobie zaciekłość posępną, ja i ty, upiorzyca ty!...

Nie, tyś nie winna, ty dobrze robisz, że mię

odtrącasz, nie można wskrzesić trupa. To ja zamordowałem naszą miłość, ja sam. Nie chcę, aby cię za mnie karano, muszą cię ludzie szanować, uwielbiać, ty czysta, święta.

Ja sam pójdę pod pręgierz, ja sam.
Karzcie mię, bijcie, ja miłość zabiłem.
Piękna była i młoda, a ja nie miałem litości.
Kolanami zwaliłem się jej na piersi,
dusiłem, choć krzyczała, dusiłem.
Co chcecie czynić, co chcecie straszni oprawcy?
Męczcie mię, zabijcie!... tylko nie to... nie to...
Wzięli moją umarłą dziewczynę,
włożyli mi na ramiona
i muszę nieść ten ciężar, muszę...
Ramiona zesztywniały mi jak kleszcze,
nie mogę zrzucić trupa,
choć pierś mi mrozi to zimne, skostniałe ciało.
Wykręćcie ją przynajmniej w mych ramionach,
by nie patrzały mi w oczy
te straszne, zakrzepłe źrenice.
Albo mi głowę odwróćcie wściekłym policzkiem,
bo drgnąć nie może więziona
tym strasznym wzrokiem umarłej.
Czy to me zęby dzwonią?

czy za mną stanął ktoś straszny
i w dal mię ściga szczękaniem?
Nie pędźcie, nie szczwajcie psami!
Sam pójdę.
Wszak lata już tak się włóczę
z tym strasznym trupem na ręku.
Dzieci uciekają przedemną,
choć ja im nic nie zrobiłem;
chaty zamykają się przedemną,
choć ja im nic nie zrobiłem.
Gdzie spocznę?
O, jak mi cięży umarła.
Nie bójcie się, nie bójcie, nikomu złego nie zrobię;
tylko ludzie mogą źle czynić,
ja już nie jestem człowiekiem.
Popłoch przedemną gna
i kurz zostawia na drodze.
Każdy mi w twarz spogląda,
jak gdyby trupa nie widział, tylko mą twarz...
I długo patrzy w nią, patrzy...
A gdy spostrzegę, że nagle
strach mu źrenice rozszerza,
wtedy sam wzdrygam się strachem
i coś mię zrywa i pcha
bym ścigał przerażonego;

a ziemia szczęka podemną
jak zęby dzwoniące strachem.
Czasem, tak, czasem spoczywam.
Nocą na skraju lasu
pod ścianą świerków przystaję
i gdzie mchów kępy puszyste nęcą najmiększym [jedwabiem,
zwolna.. zwolna...
chylę się z drogim ciężarem.
Najczulsza z matek, gdy na sen dziecko układa,
co w jej ramionach usnęło,
nie ma tak czułej
i tak ostrożnej tkliwości,
jak ja schylony bez tchu
nad moją śliczną umarłą.
Bez ruchu trwam tak godziny,
strzegąc jej snu wiecznego
i całą przeszłość przeżywam
serdecznie żywem wspomnieniem.
Wtedy ziemia mi gra swoją muzykę tęsknoty,
w pierś mi ją wlewa gorącą
a od gór spływa baśń
i las pięknieje.
A kiedy kwiatów woń z pod sypkiej zaspy jej [włosów
przedrze się tchnieniem upojnem
wtedy ja myślę szalony, że to jej włosy pachną,

jak dawniej... jak dawniej...
A kiedy pod mem ramieniem
silniej się ugnie sprężysta kępa mchów,
wtedy ja myślę szalony, że to jej pierś faluje,
jak dawniej... jak dawniej..
A kiedy snop księżycowy rozchyli świerki poza
i bielmo ócz jej wysrebrzy, [mną
że oczy żyją,
wtedy szaleństwo radości krzykiem więźnie mi
a potem żebrzę i łkam [w gardle,
i chucham w sine usteczka.
A za mną ściana świerków
chyli się masą ciemną
jakby mię chciała pogrzebać
I słyszę w sobie, czy w drzewach:
Ja miłość, miłość zabiłem.

— — — — — — — — — — — —

Sypią się liście złociste...

Znam w lesie jedno drzewo, na śmierć skazane, gnijące od dołu. Kocham to biedne drzewo, na uboczu stojące, osłupiałemi oczyma wpatrzone w przepaść, która je pochłonie.

Co dzień odwiedzam to drzewo, codzień z trwogą tajemną rachuję dni jego życia. Z bijącem sercem skradam się pod pień zmurszały, bo oczy moje nauczyły się czytać w każdem chorem włóknie, w każdej żyłce nabrzmiałej. I ran dotykam się bolesnych, a ręce moje stają się wtedy bardziej dobre i ostrożne, niż litośne ręce siostry miłosierdzia.

Może ręce Matki Bolesnej spłynęły takim cudem litości po świętem ciele Ukrzyżowanego.
I moc mają wtedy moje ręce, błogosławną moc cudu. Wiem, żeby moje drzewo już dawno skonało, gdyby nie ów balsam przedziwny, który się z moich palców w stygnącą korę przelewa.

Tygodnie całe zmagało się moje życie z przyczajoną śmiercią drzewa, lecz dziś, gdy się kory dotknąłem, dreszcz obleciał gałęzie i pochyliły się ku mnie z wyrzutem: cóżeś nam przyniósł niebaczny, gdzie twój balsam żywota? A jam zbladł z przerażenia, bom poznał, że śmierć mam w sobie. I wpiłem się oczyma w najdotkliwszą ranę i wyczytałem: śmierć. Więc odskoczyłem coprędzej, jak trędowaty, który sieje zarazę.

Spojrzałem w górę. W żółtej koronie uwiędłych, chorych liści kołysała się jedna zielona gałązka, niby oaza ożywcza na jałowej pustyni. gałązka ta nie wiedziała nic o zagładzie drzewa, na chwilę nie zadrżała dreszczem trwogi, gdy suche szkielety liści sypały się dookoła; dumna spokojna o swój los, szczytem nad drzewo wzniesiona, wykrzykiwała w wolnej przestrzeni swój samotny tryumf i swoją wolę istnienia.

Lecz ja, którym wiedział wszystko, rozpłakałem się z żałości. — —

Sypią się liście złociste...

W najciemniejszym wądole, pod zesztywniały kłąb korzeni chyłkiem podłożyła Jesień swój cichy lubieżny ogień. W rozmokłej, przegniłej ziemi

wsączył się w najdrobniejsze szczeliny, spragnionemi nozdrzami węsząc ciała roślinne.

Z rozkosznym sykiem tarł się o mokre butwiejące kłody, tysiącem drobniutkich macek otulał jedwabiste włókna korzeni, pod skórą puszystych mchów rozpełznął się dreszczem lubieżnym i coraz szersze przestrzenie przenikał trawiącym swym żarem. Czasem ostrożnie wychylał się z pod ziemi, w koronkowy bukiet paproci zanurzał swój długi, lgnący język, a gdy się zaryl znów w głębi, już zieleń paproci spełzła, zrudziała. Czasem niebacznym owadom prześlizgnął się między rozchylone skrzydła, iż opadły bezsilne. A kiedy w podziemnej wędrówce uwikłał się w rozpęczniałe powrozy żywych korzeni, wtedy podnosił się do góry, jak wąż nadeptany i w truchlejącem rdzeniu drzewa nurtował długo, zawzięcie, aż przebił się na wierzch suchotniczymi wypiekami liści. Las cały płonął niewidzialnym, wszechobecnym ogniem. W ucieczce przed niszczącem tchnieniem z soczystych swych tajników wybiegały kolory na samą powierzchnię liści, skupiając się w obronnych, czerwono-żółtych plamach; potem plamy mieniły się, bladły, pełzały ku brzegom, wgryzając się w każdy rąbek krawędzi. Jak ostatnie pobłyski

więdniejących zachodów, gasły jedno po drugiem sinorude obrzeża. Żółte, zmatowane, zda się, w nikłej blaszce wytłaczane liście chwiały się i sypały, dzwoniąc podzwonne życiu.

O, święty ogniu niszczycielu! Nieraz na trawach rozciągnięty przyłożyłem ucho do ziemi i słuchałem... A z głębi, z głębi, poprzez zamarłych wieków próchniejące warstwy dyszało ku mnie w niewstrzymanym pochodzie niszczycielskie tchnienie twych piersi — i trzask słyszałem cichy stanowczy, jak straszne słowo: stało się.

Przepychem leśnej krasy, mdlejącą wonią kwiatów płaci ci życie swój doroczny haracz, lecz z każdą wiosną oddajesz rozrzutnie wszystkie wonie i barwy wchłonięte.

O, święty ogniu niszczycielu! rozpaczny smutek drzew jesiennych, znużona sytość późnych barw jest we mnie. Przechowaj ty mię w swem płomiennem łonie, przechowaj moją myśl zbolałą. Dobrotliwymi żarami wypal z niej rdzę zwątpienia i niezgojoną ranę pamięci, a z nową wiosną wstaniemy razem wśród łąk rozkwitłych przepychu — młodzieńcze bogi nadziei... — Tak śniłem niegdyś...

Gdybym się po raz drugi urodził takim, jakim jestem, musiałbym przedrzeć się przez życie w tych samych mękach miłości. Każde włókno mych nerwów zadrżałoby raz jeszcze tym samym spazmem upojeń, wypięte jak struna pod niezbłagane palce bólu, odjękłoby pieśń tąsamą. I musiałybyście się narodzić raz wtóry, wy dwie kapłanki mej miłości, wy straszne ofiarnice mego życia. I musiałbym was poznać obydwie, choćby przestrzenie jeżyły się przeszkodami, a chochliki przypadku plątały nasze ścieżki — musiałbym was poznać i pokochać obydwie. Bo żaden bóg nie mógłby odmienić tego, co we mnie było przed wieki i co się stwarza przezemnie i ujawnia. A trzeba było miłości i męki, a trzeba było upojeń i wstrętu, bym stał się ciszą wód bezbrzeżnych, której już żaden wiatr nie rozkołysze.

I uświadomień trzeba mi było bolesnych bym nieświadomość nicości ukochał.

A jeśli tęczą ducha przerzucę się nad otchłanią w nieznane świty przyszłości, to trzeba było ognia i ofiary, iżbym po tęczy szybował.

Więc błogosławię was obydwie, miłości mej ofiarnice.

Ty, z twarzą dziecka, z przebolesnym uśmiechem madonny i ty płomiennooka, której spojrzenie krew pije.

Ty, jasna moja, coś była mojem marzeniem o szczęściu, a skamieniałym posągiem bólu stoisz na grobie mego życia — najświętsze sny mej tęsknoty płynęły w twoje niebo promienne, najdziksze szały żywota żebrały łaski ukojeń, co się strumieniem świętości w twej czystej duszy przelewa. A zanim cię poznałem, jużem się modlił do ciebie: przyjdź! — kiedyś w jedności byliśmy razem. — —

Bo w marzeniach młodzieńca, w otchłannych dziecka snach łkała tęsknota za straconym rajem, za boskim cudem światła, w którem się duch mój nurzał, gdy bogiem był w jedności.

A oto z wyżyn mego wniebowstąpienia strąciła mię straszna świadomość, bezsilna rozpacz anioła, który zwątpił w boga.

— Kobieta, więc już nie wyzwolenia zacisze

pod kopułą nieskończoności, ale w skwarze południa omdlała gnuśność pod szkarłatnym namiotem rozkoszy. —

Więc już nie Rosa mystica, ale szatański eliksir, co w tętnach opętanie miłości zażega, a z palącej pieszczoty koszulę Dejaniry po ciele rozsnuwa, więc nie zwycięstwo, ale przypomnienie rozłamu, spieniona walka żywiołów, co się przeniknąć nie mogą — a złudę cudu jasności stworzyłem sobie ja sam.

Ja sam wczarowałem ci w oczy blask zaświatowej tęsknoty, gdy w mrokach twórczej godziny snułem marzenia o tobie. —

Ja sam odstrzeliłem ci w duszę swoje niebo i gwiazdy swoje, bym mógł w nich błądzić oczyma i ziemski przesyt utopić.

Wywiodłem cię na górę przemienienia twego i uczyniłem królowę z niewolnicy. A teraz zatrząsł mną chichot szyderstwa i urągam królowej-niewolnicy. Drapieżnemi rękami zdzieram sobie pod stopy twój szkarłat królewski, błękit twój tkany gwiazdami na strzępy rozrywam i obnażam bezwstydnie twoje nagie ciało, a cudowny naszyjnik, w którym łzy opalowe jasnego nieba zastygły owijam sobie nad głową, jak wężową śmigę a te-

raz leci rozsypując się w przestrzeń z syczącym świstem szyderstwa.

— — — — — — — — — — — —

Nie widzę ludzi ni świata. Ciemno. Jakież mi tchnienie przywiało tę zaświatową melodyę? A oczy ma melodya — nie oczy, ale gwiazdy krwiożercze. Patrzą mi w oczy tak silnie, gwałtem podnoszą mię z ziemi, w głowie mam krwi muzykę.

— Nie chcę – już tylko pragnę spokoju.

— Nie znajdziesz spokoju, bo ogniowe serce twej ziemi płomieniami mózg ci zalało. Pójdź! ukojenia ci nie dam, tylko szał; twój szał pokażę ci w sobie.

— Tak? to ty?... Czemużeś pierwej nie przyszła? I znowu przypływ tęsknoty pod skałą niemożliwości pienił się w wściekłych podrygach, a oto stacza mię w otchłań, o której nie wiem, czem jest.

— — — — — — — — — — — —

Jest jakiś świat poza mną i jestem ja... i jeszcze jest coś innego. Dalekie i blizkie — tak dalekie, że twarz wychylona za gwiazdy nie wyśledzi, nie wypatrzy, nie wyczuje; tak blizkie, że na serce się kładzie najtkliwszą pieszczotą, a w usta rozchylone pragnieniem leje się kropla po kropli przedziwnym pacierzem wieczności.

W pokoju mym lampa się pali, żarzący wir cząsteczek rozprasza się, ucieka.

Dzieckiem byłem niegdyś — tyle atomów przepłynęło w ogniu, a jeszcze jestem ten sam, ten sam w baśniowej zadumie, ten sam w bijącem sercu wsłuchanem w pacierz wieczności.

Piastunko moja, czemużeś mi mówiła o królewnie uśpionej w lesie dziewiczym? szukam jej dotąd; czemużeś mi wymalowała te skarby, których węże strzegą? — blask ich nęci mię jeszcze, gdy z głowni dogasającej na kominku rozleje się w mrok pokoju.

Z płonącą lampą Aladyna błąkam się po świecie i czasem widzę rzeczy gorączką dziecięcych snów wyczarowane; brudną, szarą zasłonę dnia uchylam i sycę stęsknione oczy dziwami barw i kształtów czarownych.

— — — — — — — — — — — —

Szedłem ulicą w rozmokły, zszarzały dzień jesieni, dzień, który się dławił plugawym, beznadziejnym wstrętem.

A może to nie prawda... może to sen, złudzenie — to wszystko, co widzę; ci ludzie nędzni, ulica błotem przesiąkła — to tylko wstrętny, nużący majak, a gdzieś na zakręcie czeka niespodziana promienna, słoneczna jawa. — Tysiąc razy czekałem na takie przebudzenie... lecz to nie dowód... sen może trwać bardzo długo. Zresztą zdawało mi się nieraz, żem blizki ocknienia, już wiały nademną tchnienia, pełne słodkich obietnic, pochylały się twarze, których widzenie byłoby objawieniem życia — lecz jeszcze nie mogłem podnieść powiek, ciężył na nich złowieszczy ołów snu.

I całą siłą woli, całem pragnieniem tęsknoty rozdmuchiwałem tę słabą iskrę obłędnej nadziei, aż roztliła się w pożar, w którym spłonęły na

popiół ułudne kształty rzeczywistości, a złoty kruszec marzenia zaczął przez nie przeświecać blaskiem coraz pełniejszym.

Rozwarła się mym oczom przestrzeń światłem zalana, przesycona jakby pyłkiem słonecznym, bez nieba, bez horyzontu — lotna czy płynna masa nad łąką bezbrzeżną.

Nie czułem kroków, zda się z jasnym żywiołem stopiłem się w jedno. W rozwartych szeroko oczach pieściła się rozkosz kształtów, o których nie mogłem powiedzieć, czy są we mnie, czy za mną. Cała łąka zdawała mi się czasem wyzłoconem tłem moich oczu.

Jakieś bogi tańczyły. Z każdego harmonijnego ruchu lała się cudna muzyka. I nie zdziwiłem się, znałem te jasne istoty, choć nie marzyłem o nich nawet we śnie, znałem je tak dawno, jak siebie — teraz w tych kształtach pełnych a gibkich, w tym melodyjnym przepływie ruchu czułem nie tajemniczość nadzmysłową, lecz rzeczywistość istotną, jedyną. Czułem, że niema już tajemnicy, każda rzecz i każde uczucie, każda namiętność i walka, wszelka nędza życia i wszelka niepojętość myślowa tłómaczy się i rozwiązuje w tym tańcu boskim a wiecznym.

Nagle krąg roztańczony zatrzymał się, znieruchomiał. Boskie oczy wzbierały zwolna blaskiem niewysłowionej rozkoszy, aż rozbłysły jak słońca, iż wzrok przymknąłem olśniony.

I znowu ten sam taniec spokojny w szaleństwie, brzmiący a cichy. Potęga rytmem piękności miarkowana grała kipiącą falą na łące słonecznego ukojenia.

Naraz wszystko skłębiło się, znikło. W cuchnącem chlupowisku przedmieścia wyrosły przed osłupiałe oczy zropiałe, wstrętem krzyczące kikuty kaleki, skomlący głos krajał wnętrzności: nie mogę zapracować na chleb...

Życie, gdzie jesteś? pokaż mi swą twarz tajemniczą, odsłoń mi swoją świętą nieskalaną nagość — przeczystą, rozpustną, wieczną.

Szukałem ciebie w słońcu i w nocy, szukałem ciebie w wyciu burzy i w uciszeniu gwiezdnem. Między migotem błyskawic czyhałem na twą zjawę przelotną; w wymownych oczach bławatów śledziłem wieści o tobie. Rozdarłem łono ziemi i biegiem żył kruszcowych wdarłem się do jej płomiennego wnętrza — nie było ciebie.

W labiryntach piramid nad każdą mumią schylałem pytające czoło i spojrzeniem najgłębszem piłem lat tysiące — nie było ciebie.

W zgłodniałym krzyku motłochu, co wpadał jak wiatr w przelękłe stolice i trony zmiatał podmuchem, śledziłem głosu twych praw odwiecznych, ale nie było ciebie.

Tylko tęsknota szukania, tylko obłęd pragnienia, tylko pościg za cieniem.

Potwór-wąż, co całą przestrzeń wypełnia dygotaniem nieskończonych spazmów, kręci się za swym ogonem, chwyta rozwścieczoną paszczęką i dławi się sam sobą. A z potwornego cielska wyrastają coraz nowe pierścienie, pchają się w paszczę drgającymi kłębami i coraz szybszym staje się ruch miażdżącej paszczęki i wir coraz gwałtowniejszy, zdyszany, piekielny, straszny. — —

Gdzie jesteś, gdzie jesteś?

Co w snach otchłannych rozwierasz bramy nieistniejących królestw — gdzie jesteś?

Co w mroku bezsennych nocy rozwieszasz skrzydła trzepoczącej zgrozy — gdzie jesteś?

Widziadło niepochwytne, w znikającem tchnieniu obecne, czemże ty jesteś? życiem? śmiercią? wiecznością?

O czem mi mówi baśń dziecięca, snująca w zmierzchu czarodziejskie dziwy, o czem mi śpiewa gędźba świerków w uroczysku leśnem — wołam cię, pragnę.

W kryształowych pałacach wróżek lśni się twój blask niepochwytny, w bajecznych pieczarach pod strażą smoka króluje twoja korona z płomiennych kamieni.

W ciszy umarłego miasta po marmurowym

bruku tętni twój krok niedościgły, a z jękiem zatopionych dzwonów płynie twa skarga wieczna.

Błogosławiona bądź ułudo, Pani nieistniejących królestw, Matko cudowna!

W twem boskiem łonie, niegasnącym strumieniem przelewa się krew najświętszych zachwytów i karmi wszystkich znękanych, co u twych piersi zawisną.

Modlę się do ciebie, położony w prochu mej nędzy, odziany w łachman marnej codzienności.

Przemożna złudo religii, co wszystek ogień żarzącego pieca przemieniasz w gloryę niebieskiego raju, a na arenach cyrkowych z ciał rozszarpanych bierzesz hekatomby — przyjdź!

Co płomieniste słupy męczenników stroisz niby harfy śpiewne — przyjdź!

Co tłumy wyznawców Brahmy rzucasz pod koła wozu Jadżarnauta, a w dzikim tańcu derwiszów święcisz swój tryumf szalony — przyjdź!

Co oczy świętych niewiast pieścisz wizyami lubieżnego nieba, a słodką muzyką kołyszesz przeczysty sen Rafaela — błogosławiona bądź w mem sercu!

Błogosławiony znicz rozpusty, ogniowy wąż czołgający się pod drzewem genezyjskiem, kar-

miony krwawą żądzą kapłanek w świątyniach babilońskiej Mylitty i egipskiej Izydy — wąż nieśmiertelny, co wszystkie wieki przewiązał łańcuchem swych pierścieni.

Z drapieżnej chuci bakchantek, z rozpasanej orgii sabbatów, z przedziwnych gwałtów manichejskich świątyń rwie się ku tobie krzyk rozkoszy, wydarty z gardła ludzkości, mdlejącej w twych ogniowych splotach.

Cześć ci wężu Genezy.

Był znużonym, tysiącem otworów odpływały zeń myśli, czucia, pragnienia, po cichych stokach spływały w dal bezpowrotną, jak łzy oswobodzenia po twarzy łkaniem znużonej; zdało mu się, że wszystko, co stanowiło jego istotę, odrywa się od niego na wieki — gdzieś na szczycie leży biedne, umęczone ciało, nieświadomem, zwierzęcem życiem przesiąkłe, ostrymi promieniami palącego słońca do skały przybite, ale on, on sam roztapia się, ginie w jakichś czeluściach czarnych, w których zarówno przepada bez śladu żwir sypiący się z góry i najrzadsze uczucia, przedziwne perły, które się w sercu jak w muszli bolesnej zrodziły. Resztkami uczuć żalił się jeszcze w sobie nad martwą obojętnością nicości, potem i żal się wyczerpał — życie zastygło w nim na chwilę.

Nagle, coś dziwnego chwyciło go za serce, jakieś niewidzialne palce skurczyły je boleśnie. iż krwią ku twarzy buchnęło i opadło drgające,

Przypomnienia miejsc dawno widzianych nachodziły go w korowodzie bezładnym. Dwór z dziedzińcem okolonym drzewami, na skaleczonej piorunem topoli gniazdo bocianie, wszystko jak wyspa zaczarowana, z morza nagle wyrosła, falami dziwności bajecznej oblana.

Po sinych łąkach pędzą konie z wózkiem, w wózku jego dziadek i on, dziecko, z rozszerzonemi marzeniem oczyma, czują się, dziadek mówi głośno, dziarsko o bohaterstwach dawnych, on słucha, a wózek pędzi po trawach miękkich — zdobędą świat —

Park w mroku tonący, z alejami drzew stuletnich, w ponurem powietrzu zgiełkliwe wron rozhowory. — —

A między tymi obrazami jakieś nagłe prześwisty pociągów, obrazy pożegnań i powitań serdecznych, dziwaczne plątaniny sprzętów, twarzy.

Otchłań pod nim ziejąca wyrzuciła głosy, które miał za stracone i zmarłe, oparem widzeń serdecznych rozpieściła mu duszę na nowo. Z widnokręgów dalekich szła ku niemu miłość. Widział jej twarz, twarz dziecka i bolesnej Madonny, każdą linię tej twarzy czuł w sobie pod powieką zamkniętą.

Jasna!

Znów idziesz ku mnie.

Idziesz z uśmiechem przebaczenia, a w oczach niesiesz mi obietnicę rozkoszy, od której zmysły mdleją.

Idziesz z twarzą bolesną, przemęczoną udręczeniem wieków, a już widzącem marzeniem dotykam się chwili, gdy ją do mej piersi przytulisz.

W mgłach tęsknoty młodzieńczej idziesz z poszumem lasów dalekich rozbudzać echa radości przekwitłej, która w mych piersiach skonała.

Oto dusza moja zrywa się ku tobie trzepotaniem zachwytu, ale wzlecieć nie może, bo dawna niemoc ją sidli.

Zostaw mię, zostaw, przejdź koło mnie i zniknij, jak poblask świetlny grzbietami fal w ciemność porwany.

Zostaw mię, zostaw, bo sił już nie mam na zniesienie łkania, jakie w mej piersi wzbiera.

Jestem jak dzwon, z którego wyjęto serce, a bezsilne marzenie o tonie, który mógłby brzmieć, wałęsa się jeszcze po okręgach dzwonu.

Miłości moja, oszczędź mię!

Idź na łąki wiosenne rozhylać kwiaty tęskniące, a dreszczem wiatrzanej pieszczoty rozpełznij się po trawach puszystych.

Cichą ręką anioła przecieraj błękity nad marzącemi wodami, a pocałunkiem żarów słonecznych roztapiaj lody północy, ale sercu, co w bólu stężało, biednemu sercu człowieka daj skonać w ciszy, daj zgasnąć.

I modlił się, wypraszał, cofał się i zaklinał, chciał uciec, przepaść... daremnie.

Dreszcz tłumionej rzewności ścisnął mu krtań boleśnie, wtopił się w piersi, zmiął, zahybotał i rozlal się po ciele łkaniem palącem.

Bądź pozdrowione morze! Nie widzieliśmy się tak długo. Pocałunki ci szlę — przylgnęły już do fali, rozpełzły się w nieskończoność po twem płynnem ciele, a ty im odpowiadasz rozkosznym dreszczów migotem, idącym z krańca do krańca. Całuję... a tak się całuje pierwszą kochankę... i jeszcze tylko śmierć.

Morze! kiedy to było? ach, tak! pamiętam. — Miłości mojej grałoś kołysankę.

Widziałem, nieraz widziałem, jak z krańców widnokręgu niosły mi twoje fale pobłyski świetlne, by z nich dla mej miłości uczynić hamak przejasny. Potem konchy podwodne nawoływały się z daleka ledwie słyszalnem hukaniem, jakoweś szepty, westchnienia wabiły się poprzez mgły.

W oplotach pieśni marzącej bujała się moja miłość, a tam u brzegu dzwoniły, tarły się, omdlewały rozszklone, giętkie powierzchnie.

— Morze, powiedz, co z tobą odtąd się działo?

Ile miłości wykołysałoś na śmierć?

Jakie burze targały twe wnętrzności?

Jakie sny przechodziły po twej wiecznej twarzy?

Morze, morze, ty strasznie wiele pamiętasz.

— A nie możesz ty mi powtórzyć tej dawnej pieśni? Masz ją pewnie schowaną w koralowej jaskini. — Gdzie?... pod kryształowym dzwonem topielców? — nie szkodzi — wydobądź z tamtąd, oddam ci ją, wydobądź! — Boisz się, że pieśń twa wtuli się w moje serce jak w muszlę? —

Oddam ci ją wraz z sercem. —

O, graj mi, graj. — — —

Morze szalało. Fale gnały ku sobie, podjudzały się wzajemnie. Spiętrzone strasznem zderzeniem, jak centaury wzniesione na zadach gryzły się kłami białymi, aż nowa rozszalała masa przewaliła się po ich ciałach.

Czasem piekielny, zziajany galop wyrywał się z odmętu i gnał bez pamięci na oślep.

Czasem wiązania gigantycznych gmachów waliły się w otchłanie. Olbrzymie, zakręcone kolumny łamały się o firmament, rozmachane tarany przedzierały morze do dna, a stalowa kopuła

niebios chyliła się coraz niżej, aż całą wściekłość żywiołów ujęła, zgniotła, nakryła sobą, jak wiekiem olbrzymiego kotła. Huki zmieniły się w dudnienia dygocącej masy. Naraz stało się coś strasznego, niemożliwy trzask zalśnił białością rozżarzonego żelaza — spiżowe bramy rzeczywistości pękły, zgwałcone przez jakieś niewyobrażalne istnienia, przysadzone od wieków w rosnącem napięciu. Tam w dali na samym dnie zolbrzymiałej jaźni majaczył, kurczył się, zwijał świat — maleńki pyłek tańczący na strunach światła — to znowu cieniem wchłonięty, jak coś przypadkowego, o czem wieść ginie bez śladu.

Wieczność strasznego oczekiwania rozpostarła się w bezkresach, aż w jęk spłynęła beznadziejny: Nie to, jeszcze nie to!

Otworzył oczy. Gładka płaszczyzna wody chwiała się cichem jaśnieniem, smugi powietrza muskały się w pieszczących przewiewach, na morzu i na niebie marzyła wielka cisza.

Rozglądał się zdziwiony. W pajęczynach dróg mlecznych zwisały drżące, rozlśnione krople gwiazd. Zdało mu się, że lata całe przemarzył, prześnił na morzu, tysiące mil pozostawił za sobą, tysiąc miast nieznajomych majaczyło mu z brzegu,

gdy płynął modrym bezkresem; w rozbudzonych przypomnieniach widział wyspy cudowne, sznurami powojów wiosłujące w ciszy, pałające kwiaty, gwiazdy morza całowały się przez przestrzenie z gwiazdami błękitu.

Teraz na brzeg ten zawinął — taki cichy, tak daleki od życia. Nikt z ludzi nie był tu jeszcze i nikt z nich nie będzie. Jest sam — sam. —

W sercu roztkliwiła mu się skarga ostatnia — jedyna. — — —

»Tu, gdzie się łamie ścieżka mojego żywota, skąd mi rozbłysną pierwsze świty mojego jutra, stoję i myślę: Czegóż ty chcesz odemnie? w czem ci przewiniłem przed wieki, żeś mię urobił z sprzeczności, niemogących się pożreć ni stopić w jedno. Ty, ojcze mój, którego pożądanie me stwarza, a szyderstwo mózgu w nicość rozbija?

Łkającemi tkliwościami dziecięcego serca runąłem nieraz w twoje łono bezkresne, gdy wstręt mój pluł obelgami i urągał nicości twojej?

Czemu mię dręczysz?

Czemu podnosisz mię ku sobie, ku zwyżom serdecznego oglądania, jak księżyc podnosi mórz zwały, i porzucasz na pastwę nikczemnym odpływom?

Uderz mię raz światłością, od której oczy ślepną na przeraźliwe widzenie cudu, bytu-boga, od którego nazwa odpada, jak obręcz z rosnącego w bezmiar olbrzyma.

Miliony lat i światów miliony spiętrzyłeś między mną a sobą, a poprzez zwały wieków pręży się, woła i łka odwieczna struna tęsknoty, którą związałeś mię z sobą; każdy dzień mego życia wypręża ją coraz boleśniej i coraz przeraźliwsze wołanie rozbija się u twych stóp. Jeżeli struna pęknie, nie wrócę już do ciebie i będziesz mię daremnie pożądać w swej wieczności. Jak zbłąkana kometa waryacką parabolą przecinać będę nieskończoną ciemność i nie stopię się z tobą w gloryi twej światłości, a wtedy złudą będzie i kłamstwem coś w mojem sercu wypisał przed wieki, że ja i ty — jedno jesteśmy. Wypleń ze mnie wszelką myśl o nicości, nim rozrośnie się w bezcielesną gadzinę, która twój wszechświat pochłonie.

Rozerwij tamy dzielące mię od ciebie, bym wpłynął jak rzeka w morze wszechistnienia. — Wypij mię jak słońce pije wilgoć wodną, wchłoń mię westchnieniem wszechmiłosnej piersi, bo dzień

mego życia przesilił się już we mnie i nie mam siły patrzeć na swą nędzę.

Wybiegłem płomykiem ponad ognisko wieczne, a teraz spadającą fontanną iskier wpaść chcę w moje łono płomienne.

Ojcze mój, któryś jest we mnie, przyjdź królestwo twoje.

BIBLIOTEKA SŁOWA

30
JVIW
320418

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
106107

Biblioteka WSP Kielce
0148393